Ner 43. Kraków, 28go Października. 1862.

ROK III.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. — Rękopismów redakcya nie zwraca. Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.** Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

Wychowanie Rodzinne.

List X. Wojciecha z Medyki.

(Zobacz Nr 42).

Że wychowaniem nieraz źle kierują, tj. nie zupełnie odpowiednio naturze naszego ciała i ducha i t. d., to okoliczność ta nie dowodzi jeszcze, że wpływ ludzi na ludzi jest niepotrzebnym; że wpływ wzajemny nieraz jest najszkodliwszym i przyczyną złego, to mówi jedynie przeciw szkodliwym sposobom czyli metodom wychowywania, ale potrzeby wpływu ludzi na ludzi nigdy nie zaprzeczy. Człowiek-dziecię, mając od rodziny opiekę, zaciąga przez to samo dług dla towarzystwa ludzkiego, t. j. co jemu daje rodzina, to on ma oddać ludziom; co wziął od poprzedników dobrego, to ma zachować i stokrotnie oddać potomkom. Jak ptaszę wyleci z gniazda i śpiewa po swojemu, tak samo człowiek, wyszedłszy z gniazda domowego, z rodziny, ma żyć życiem rodziny, a później ma się odpłacić towarzystwu, biorąc na siebie obowiązki nowego gniazda rodzinnego. Takie jest prawo Boże, a wszystkie inne drogi będą albo fałszywe, albo napół tylko dobre.

Pierwszym celem człowieka-dziecięcia jest życie rodzinne, boć nietylko ma on żyć mlekiem piersi matczynej a później chlebem, ale ma sobie także przyswajać życie moralne rodziny. Zostającemu pod bezpośrednim wpływem rodziny koniecznie mu żyć jej wpływem; jak powój, czepiwszy się jakiej gałązki, musi się tejże trzymać koniecznie, aby żyć: tak samo dziecię, oparłszy się o ramie matki, ojca, babki i t. d. trzyma się tej podpory koniecznie aż do pewnego czasu, boby inaczej skaleczało albo zginęło.

Lecz niedosyć na tem, aby człowiek był czystym odbieraczem rodzinnego wpływu, to przystoi dlań jako dla dziecięcia; ale później ma się on do tego sam sposobić i wyrabiać t. j. ma się swoją pracą wychowywać rodzinnie, ma niedobory dziecięctwa później zastępywać; ma się uczynić prawdziwem zwierciadłem, od któregoby światło rodzinne, kędy się tylko obróci, wszystkiemi promykami się odbijało, naokoło się rozsiewało — ma być żywym spotęgowanym obrazem gniazda rodzicielskiego. To też grzeszą wielce ci, którzy nie mają na sobie i w sobie tego, co mieli ich zacni dziadowie i naddziadowie; płakaćby nad tymi, którzy wyszedłszy z gniazda olbrzymów, zostali karłami, albo z słońca jasnego wyszedłszy, stali się ledwo czarną plamką tego słońca. Przeniewierzenie się najdrobniejsze swemu gniazdu rodzinnemu, jest oczywistym grzechem przeciw prawom natury, bo nigdy nie rodzi sowa sokoła, tylko jako sama; ani też sokolica i orlica nie urodzi sowiątka. To też najpiękniejszą zasługę pokłada człowiek, uznając niskie gniazdo rodzinne rozparciem i podniesieniem tego gniazda w kierunku Bożym, wydobyciem się z nizin na widok prawdziwy zacnością prawdziwą; chwalebnem jest utrzymywanie swojego własnego gniazda w jednakim blasku, a już zaszczytem ciągłe tegoż potęgowanie coraz nowemi gwiazdami cnoty i zarobkiem duchowym. Życie rodzinne ma jedyną swoję poezyą, właściwą idealność, piękność ofiar i rajskie szczęście, jeżeli wypływa z źródła świętego ojców, i płynie świętem korytem narodu; ale ma ono i ciężki krzyż, ma czarę goryczy i palmę męczeństwa nieraz. To też dziecię każde, stojąc tak blisko koło źródła szczęścia i łez rodziny swej, pije to szczęście i te łzy całą piersią, ono patrzy na uciechy i kłopoty rodzinne, wplata się w to życie ciałem i duszą, wpija w siebie to drobne morze życia rodzinnego, jakby gąbka nienasycona, i wyrabia w sobie cały ten drobniutki świat rodziny w swojej duszy na obrazek swój i t. d. i dla tegoto nie możemy się nigdy pozbyć tych wrażeń rodzinnych najpierwszych, tych obrazków z dziecięctwa naszego, tych zabawek i płaczów w domu matki naszej z czasów dziecięctwa naszego itd., dla tegoto kochamy tak gorąco zawsze to życie rozmaite w rodzinie i tem żywiej je pamiętamy, im silniej wrażały się pewne niespodzianki w naszę młodą duszę. Z gniazda rodzinnego bierze nietylko nasze ciało chleb, odzienie i zaspokojenie zmysłowych potrzeb, ale i dusza bierze swój pokarm t. j. umysłowy i serdeczny — ta to spiżarnia święta, z której się jako dzieci zaopatrywamy na dalszą podróż żywota w różne przybory, wystarcza niejednemu potem na długie życie, i niejeden żyje tem życiem, jakie wyniósł z domu rodzinnego, bez zmiany do grobu, n. p. nasz lud wiejski żyje takiem życiem. Ztądteż trudno nam się pozbyć tych cnót, które mamy od matek naszych, choćbyśmy poszli na drugi kraniec ziemi, i równie trudno nam przychodzi porzucić te wady, które wrosły w nas razem z macierzyńskiem mlekiem. I wie też każdy, komu wypadło oczyścić się później z narowów i uprzedzeń rodzinnych, ile go to pracy kosztowało.

Otóż w rodzinie jest początek naszego życia i tak od pierwszego naszego zakwilenia na rękach matki, jaki i od pierwszego naszego słowa, które wymawiamy do matki, rozpoczyna się pierwsze ogniwo naszych myśli, pierwsze oczka naszego życia umysłowego, pierwsza głoska w księdze naszego żywota, z którą pójdziemy do grobu, z którą na sąd ludzki idziemy i z którą na boski pojdziemy. Mogą się wprawdzie później ogniwa zmienić, może być latorośl życia skrzywiona, ale zasad się nie zmieni, jak niepodobna dnia wczorajszego przemienić na jutro, jak niepodobna zmienić korzeni drzewa, choćby rosło koszlawo,

lub rosło bez owocu. Ale co więcej, w rodzinie to jest początek moralności naszej, bo świt pierwszej miłości i przywiązania dziecka do ojca, matki, babki i t. d., tu pierwszy błysk ofiary i poświęcenia, najpierw dla ojca, matki i t. d., a z tego świtu, pierwszej miłości i pierwszego poświęcenia dla rodziny, wyjdzie później miłość rodu i narodu, miłość ojczyzny i ludzkości, a obok tej ziemskiej miłości wyrośnie miłość nieskończona Boga, bojaźń Boża, pokora i podstawa życia przyszłego. Rodzina jest tem dla dziecka, czem ziemia, rosa dla roślinki młodej. Jeno, że roślinka odbiera samo życie ziemskie i buja bezwiednie, a dziecię odbiera razem z życiem ziemskiem i życie moralne, jako podstawę swej nieśmiertelności odrębnej i osobistej. O gdybyście matki chciały zrozumieć, że pierwsze dni życia waszych dziatek to tyle, co poczynający się ranek każdego dnia; że to samo słoneczko, którego rankiem dopiero pierwsze promyki słabo świecą się na niebie lub obłokach, będzie świecić potem od rana do wieczora promieniami temi samemi, jeno jaśniejszemi i cieplejszemi; o gdybyście wiedziały, że, jaką jest podwalina, takim będzie i dom cały na tej podwalinie; że dziecko wasze, jeżeli jest do was podobne z twarzy, to podobniejszem będzie do was myślą i sercem przynajmniej na początku swego moralnego życia; o gdybyście to uznać zechciały, że jakie gniazdo takie ptaszę, i taki pan jaki kram, i wart Pac pałaca a pałac Paca, tobyście najtroskliwiej same siały pierwsze ziarna wiedzy i cnoty w serca dziatek, a nie polecałybyście w obce ręce i obcym sercom i myślom tych dziateczek drobnych, a które są przyszłymi obywatelami miłej ojczyzny. I jeżeli jest źle powierzyć dziecko rękom bony zaraz w 2gim i 3cim roku życia, w owym czasie rozkwitu ukrytych pączków duszy i serca waszego dziecka, to będzie zdradą powierzyć je rękom cudzoziemki, aby pączki duszy wydały kwiat i owoc obcy, nierodzinny, a więc i nie narodowy.

(C. d. n.)

JOANNA ARK,

czyli

DZIEWICA ORLEAŃSKA.

(Ciąg dalszy).

Lecz równie nieszczęśliwym, jak król francuski, był i francuski lud: szalał i mordował w wściekłości; w szalonej głupocie, większej bez porównania od zwierzęcej, witał okrzykami radości najezdnika i zaborcę Francyi. I lud marniał równie, jak pokolenie królewskie. Z wojny rodził się głód, z tego morowe powietrze, a z tego znowu głód i śmierć. W roku 1418tym wymarło na zarazę około 80 tysięcy ludzi; na drugi rok pola niewydały plonu, nastała drogość, wszczął się głód; w zimie ubóstwo miejskie już i o opale niemyślało, dzieci zagrzebywały się w kupy mierzwy i marły z nędzy; w 1421 roku głód jeszcze bardziej się srożył, więc żywiono się psami, kotami, szczurami, jakby łakociami jakiemi. Po wsiach, wyludnionych pomorem, gospodarowały stada wilków, wygrzebując trupy z ziemi; ba nocą gaszczały nawet po przedmieściach Paryża. Żebractwa było tyle, że mu się nikt opędzić nie mógł, nakoniec żebraki przewyższały liczbą pracujących. Rolnik rzucał pług, żonę i dzieci i znikał w lesie. Zdaje się, że z nieszczęścia bez granic urosła w XIV wieku choroba największa na świecie, której należy się miano głupoty bez granic. W tym wieku taniec w wielu krajach stał się manią: po powtarzających się morowych zarazach, pozostali przy życiu nabawili się jakiegoś mimowolnego gwałtownego wstrząśnienia nerwów, które łatwo kończyło się na tańcu świętego Wita. Działo się tak: w duszy był kurcz i szał, ten przechodził do nerwów, chorzy tańczyli z zdrowymi; po ulicach, a nawet po kościołach tworzyły się koła konwulsyjnie pląsających. Obojętny, śmiejący się z innych, porwany w wir koła, doznawał kołowania w głowie, rwał się do tańca, tańczył — koła szalonych wzrastały, porywały wszystko z sobą, roztrącały wszystko, wzrastały do rozmiaru olbrzymich smoków, na które był jedynym sposobem gwałt. Gwałtem można było przerywać te tańce w XIV wieku.

Doszliśmy w opowiadaniu dziejów politycznych Francyi aż do roku 1461. Tańce szalone XIVgo wieku w następnym już się nie powtarzały; ale mamy się przecież na co patrzyć, co ból sprawia i za serce ściska, tak w Anglii, jak we Francyi i w Niemczech. Tem zjawiskiem był tak nazwany taniec umarłych czyli makabra — odbywał się na cmentarzu. Anglicy, upodobawszy sobie w nim, zaprowadzili go we Francyi. Ciekawy znajdzie jeszcze dzisiaj, u nas nawet, jeżeli nie malowidło to jaki egzemplarz sztychu, przedstawiającego śmierć w tanach z ludźmi wszelkiego stanu i wieku. Zapewne nie każde malowidło i nie każdy sztych wyobraża rzecz z natury zdjętą. Widzieliśmy bowiem podobne tańce śmierci przedstawione artystycznie, (o ile i... jeżeli ironia największa w granicach artyzmu się mieści), w których produkowali się cesarze i królowie, papieże i kardynałowie, chociaż tak nie działo się rzeczywiście. Niemamy tutaj na tyle miejsca, ażebyśmy rzecz dokładnie wyłuszczyli; powiemy jednakże, że taniec umarłych odbywano w Paryżu roku 1424, a więc już po śmierci Henryka V. angielskiego i Karola VIgo francuskiego, na cmentarzu niewinnych młodzianków. Na tym cmentarzu chowano od wieków umarłych z ludu, ale był on i miejscem popisu dla oprawców; był także miejscem zgrozy moralnej, o której nam wcale nie rzec i słowa. Filip August, król, opasał ten cmentarz murem i poświęcił go świętym młodziankom na pamiątkę przez Żydów rzekomo zamordowanego dziecka. W XIV wieku chowano na tym cmentarzu także ciała ludzi tak zwanego wyższego towarzystwa. Te tak prędko rozkładały się tutaj, że poziom cmentarza podniósł się na 8 stóp nad poziom ulic poza jego murami. Jeżeli idzie o doskonałość ironii, to miejsce opisane było dla niej najstósowniejszem. Wspomnionym igrzyskom, nietylko nie brakło komedyantów, ale im nie brakło i widzów. Lud, czy bardziej szalony jak głupi, czy bardziej głupi jak szalony, zwykł się był cisnąc na igrzyska, wyszydzające majestat człowieka, stworzonego na podobieństwo Boga.

(C. d. n.)

FIDYASZ.

(Dokończenie)

* *
*

— Gdyś na początku z zarodu bryły
Wydobywał Bóstwo siły,

Bryła piaskiem się rozścieka,
A ten piasek — światów miliony!
I stanęło Bóstwo w kształcie człowieka.
Przylgnąłeś doń rozogniony,
I jak rapsod leje tony
Lałeś weń połowę duszy twojej.
Rapsod zanuci,
Lecz tonów nie wróci,
Już wiecznie człek się w twoją swietność stroi.

I Bóg bez człowieka, nie Bogiem,
I człowiek nie człowiekiem bez Boga,
Kto ludzkim wrogiem, twym wrogiem, —
Zemsta na wroga!

A ty ramienia niezbroisz?
Z twarzą wzniosłą i spokojną
Przeciw najezdnikom stoisz,
Co gabają braci wojną.
Patrz: te zgraje zbrojnych szyków,
Te legiony Pigmejczyków,
Chciwe krwi, dobytku, rządu,
Czy nie znajdą na się sądu?
Czy dość było niegdyś gromić,
I Tytanów ci poskromić?
Kiedy góry, skały, słali
Od zamachu do twej sali?
Dość zwycięzcą po ich zgonie
Siąść na olympijskim tronie:
Złożyć gromy, rószczkę imać,
I już na wawrzynach drzemać?

Patrzaj, niemoc zuchwała się zżyma
Zapamiętale wśród dzikiej sieczy,
Krwią piętnowane, dziedziny oblęga,
Bo potęgi serca niema.
A twoja największa potęga!
Zechcesz... i jak dwoma mieczy
Zabłyśniesz oczyma,
Potrząśniesz kędziory swemi:
Zadrzą posady ziemi,
Nieba nad niemi.
Lecz ty kochasz twe twory,
A twe twory twym wrogiem,
A Bóg bez człowieka, nie Bogiem?—

Kochać, nieniszczyć, a być — pytałeś siebie,
O! takiej wieści niebyło w niebie,
Tam idea jeścem,
Mądrość żelezcem.
Ja znam — powiem tajemnicę,
Ale powstań i wspaniale
Rozpuść włosy jako fale,
Z ust mówiących rozpędź chmury,
Rozjaśń lice,
Dźwignij barki, wznieś prawicę,
Piersi obwiedź jako mury,
Wstań, a powiem tajemnicę!

Jak linie, rysy spojone krążą,
I znów się rozchodzą, i znów się wiążą,
Gibkie, kształtne, ciągłe,
Miękkie, lekkie, okrągłe,
Nurkują się w odcieniach,
I jak strumienie w strumieniach
Witają się, lecą, rozwodzą,
Znowu w jedności morzu się schodzą.

Tyś jednością — tyś u siebie,
Gdy zburzono twą świątynię,
Przyjął bogi i boginie
Jako w niebie.

A nad kościoły naszemi
Ciągną upadku chmurzyska,
A na naszej ojczystej ziemi
Już nie nasze siedliska.

O! bracia, bracia dla cnoty,
Gdy dzik urąga ludzkości,
Nasze Bogi, klejnoty
Przechowajmy w jedności!

Jak się patrzy — snać się zgadza —
Ta pogoda nad ustami —
Milczy usty — wielka władza!
Mówi okiem i czynami.
Mówmy czynem;
A ty skronie wieńcz wawrzynem,
By korona
Upodlona,
I na pierś tą, puklerz nieba,
Żadnej szaty niepotrzeba.
Niechaj króle, dumne pany,
Oblekają swe łachmany,
Nagi stój w Boskości swojej!

Teraz powiem tajemnicę:
Bądź rzeźbiarzem! —
Weźże piorun w swą prawicę,
Jako dłuto mocne, raźne,
Tnij w tę bryłę Europy!
Co niekształtne, nieprzyjaźne,
Niechaj runie, niechaj leci,
Aż nam wolność, Bóstwo święte,

W tym marmurze zapadnięte.
W całym blasku niewyświeci.

A więc ulatuj orle z pod stopy
Wolno i śmiało!.............

1833 r.

ZAGRANICA.

Powiastka niewieścia;

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Ciąg dalszy).

Zofia do Irmy.

Warszawa, 6go września 1859.

Gdybyć to odemnie zależało, siostrzyczko, już oddawna byłabym z powrotem w Tarlinie — i przy tobie! Toćże mi o mało serce nie wyskoczy do ciebie. Odżyły barwą jasną wszystkie młodych latek wspomnienia — lube zabawy i smutki dziecinne!... Będzież nam teraz z sobą znowu tak dobrze, jak było wtedy?! Oh, myślę że będzie! Czuję to sercem i duszą całą, a na myśl tę, płoną mi lica i w piersi wre radość.

Ciocia interesów nie pokończyła jeszcze, i zaledwie za dni dziesięć ztąd wyjedziemy.

Nie posądzaj mnie, Irmo, że mi tak bardzo dobrze w Warszawie, iż wracać nie pragnę; że mnie to życie wielkomiejskie tak bardzo zajmuje. Oh, nie! — Piękną jest Warszawa—a powiem ci, że jest i serdeczną. I dużo tu ludzi oddanych naukom, sztukom pięknym, dużo ludzi zacnych, szlachetnych, ludzi z poświęceniem! Towarzystwa miłe, i bardzo miłe! — Poznałam osoby, z któremi tak szczerze, tak otwarcie żyć można, że aż się serce raduje z taką prostotą, jak gdyby nie w wielkiem mieście. I Warszawa ma ogrody piękne, okolicę powabną, teatr, koncerta —... ależ to nie wieś! Niemasz tu naszych pól świeżych, łąk kwiecistych i lasów wonnych! a jam do wsi całą duszą przyrosła! — Nawet i wiejskie niebo wydaje mi się błękitniejszem, a tutaj przysłonięte kurzem. Niemasz tyle swobody, przestrzeni, powietrza. Na wsi każde drzewo, każdy krzaczek jest mi dobrze znajomy, a w mieście setki ludzi mijają, wszystko obce, i czuję się samotną, tęskną wśród tego tłumu i gwaru.

Nęcił mnie ogród saski. Zajęła królikarnia, Mokotów, Bielany. Czarowały mnie śliczne Łazienki, a cudnem marzeniem unosił Wilanów.... wspomnieniem wielkodusznego króla-bohatyra! — A jednakże, nasyciwszy się rychło pięknem tego wszystkiego, tęsknię do Tarlina, i Tarlin jest mi najpiękniejszym w świecie. Jakżebym przeto rada wróciła! A jeszcze i ciebie mam powitać, ukochaną rówienniczkę, towarzyszkę lat młodziutkich, i siostrzyczkę moją, niewidzianą od lat pięciu! — Za dni dziesięć, jedenaście.... oh, serce mi skacze!

Ależ, Irmo kochana, to małżeństwo, któreś widziałaś w Tarlinie, a tyle w niem dopatrzyłaś się śmieszności— są ludzie bardzo zacni, bardzo szanowni, i przyjaciele domu naszego.

O pannie Maryi Cześniewskiej, bawiącej w Lubońsku, której nazwisko wspominałaś, powiem ci jeszcze: że jej narzeczony umarł na wygnaniu; że, pozyskawszy pozwolenie, już miała pojechać do niego, by go zaślubić... gdy bolesną o jego śmierci odebrała wiadomość. Przeto, bardzo rozumiem i pojmuję, że za mąż iść nie chce, bo i ja tak samo bym zrobiła. I ty to pojmiesz, zrozumiesz, Irmo, skoro dłużej będziesz pomiędzy nami. Panna Marya jest osobą bardzo szanowną i sympatyczną.

A teraz opowiem ci interesujący wypadek. Szłyśmy z ciocią i majorem przez Nowy-Świat. Dzień był piękny, po chodnikach pełno snuło się osób i jeden powóz gonił za drugim. W tem nadjeżdża w pełnym biegu jakiś modny karykiel, od przeciwnego chodnika biegnie maleńki chłopczyk i pada na środku ulicy tuż przed biegnącemi w cwale końmi... „Stój!“ krzyczą w około, woźnica się sili; lecz koni powstrzymać nie może. W tej chwili rzuca się młody człowiek z boku, po naszej stronie, chwyta silną dłonią za cugle rwące się konie, gubi kapelusz, już widzę, jak rozbrykane rumaki walą go o ziemię, krzyknęłam pomimowolnie i przymknęłam powieki. Major mnie porwał i wepchnął do jakiegoś sklepu. Za mną przydążyła ciocia, prysnęli na mnie octem i szklankę wody podali... musiałam być blada śmiertelnie. A ciągle miałam w oczach leżące na drodze dziecko, rozhukane konie, powstrzymywane ręką w jasnej rękawiczce ... i jak ratujący pada pod ich kopyta.

— Cóż się stało?.... cóż się tam stało? — zapytałam wracającego z ulicy majora.

— A, nic się nie stało — odrzekł z uśmiechem — tylko żeś pani bezpotrzebnie o mało nie zemdlała. Chłopczyk, dość przytomny, podniósł się szybko i umknął, gdy tamten tak odważnie pasował się z końmi.

— Więc je powstrzymał?

— A, powstrzymał.

— Jaki szlachetny! — zawołałam, a ciocia dodała:

— Zapewne, że szlachetny i odważny. A jak widać, był to człowiek jakiś elegancki, znać z towarzystwa wyższego.

— Czy panie go nie znacie? — zapytał major zdziwiony nieco.

— Nie znamy go! — odrzekłyśmy obiedwie.

— A przecież to kuzynek, pan Jerzy Poraj.

— Jerzy Poraj! — zawołała ciocia.

— Tak jest, dzielny Ukrainiec, a dziedzic Kalinówki i Lubońska.

Irmo, więc to był pan Jerzy!... Myślę, że ten obrazek doda mu w twoich oczach większej nierównie i to *prawdziwej* zalety, i miło mi, żem tobie o nim coś podobnego napisać mogła. Jakże to uraduje babkę i panią Bieniewską!

Zastraszyłaś mnie, zmartwiłaś nawet zamiarem twoim przepędzenia zimy w Dreznie. Oh, czyliż ci tak duszno wśród kochającej rodziny, w twoim kraju, Irmo?... Gdzież może być lepiej, jak w *domu* i przy rodzinie?! (*at home*, jak mówią Anglicy). Wszakże i Francuzi lubią śpiewać: *Ou peut-on être mieux, qu'au sein de sa famille!* Irmo, pokochaj wszystko co rodzinne i swojskie, a nie zatęsknisz pewno ani do rozkoszy salonów paryskich, ani też do czarów włoskiego nieba. A pokochasz i kraj, i rodaków, i zwyczaje rodzinne, skoro tylko oczami duszy spojrzysz na wszystko, skoro we wszystko wsłuchasz się z sercem! — Oh, ja nie mam tyle wymowy! Ależ ty sama wśród nas innem odżyjesz życiem, i jednem siostrzannem podzielimy się uczuciem.

Irmo, siostrzyczko! Pisuj do mnie po polsku, a nie po francusku — składam ku tobie dłonie moje z tą prośbą! Listowanie francuskie, pomiędzy nami, było wtedy tylko stósowne, gdysmy to czyniły dla nauczenia się tego języka. Dziś.... byłoby błędem, lekceważeniem, potępienia godnem. A nad wszystko, Irmo, czyliż nam nie lepiej, nie milej, we własnym, ukochanym języku wypowiedzieć co czujemy, co myślimy, co nas boli i co pociesza, aniżeli w obcym? — A język nasz tak piękny, tak dźwięczny, tak pełny i tak serdecznie wszystko wypowiedzieć nim można! Irmo, toćże on jest drogą, świętą spuścizną po ojcach naszych, i winniśmy go jako relikwią kochać i cenić! Nie pisuj do mnie po francusku!

Mało znasz Bohdana Zaleskiego, a pewnie zarówno niewiele i innych poetów naszych i pisarzy. Będziemy ich czytywały pospołu, Irmo! a pokochasz ich, i nauczysz się uwielbiać piśmiennictwo krajowe.

Zobaczymy się niezadługo, to i głosem żywym dopowiem resztę.

Przyciskam cię w myśli do serca.

Do widzenia!

Zofia.

Ojciec Zofii, pan Nasielski, był bratem matki Irmy. Obiedwie panienki chowały się razem, dopóki pani Wągrowskiej nie przyszła *mania* kształcenia córki za granicą — w Paryżu.

Zofia całe wychowanie odebrała w domu rodziców, pod okiem rozsądnej i troskliwej matki. Miewała dobre nauczycielki, a na dokończenie *edukacyi* mieszkała z nią pani Nasielska przez zimę w Warszawie.

Obecnie bawiła Zofia od pary tygodni w Warszawie z panią Marzecką, rodzoną siostrą matki.

Zofia była wzrostu średniego, szczupła i zgrabniutka; miała włosy płowe i duże modre oczy; ładne rysy, czoło dość wysokie, bielutkie, a lica nie mocnym ale świeżym okraszone rumieńcem; uśmiech młody, wesoły często zakwitał w ustach, a wyraz cały tyle jawił dobroci i przychylności dla każdego, że sobie od razu serca zjednywać umiała. Zofia podobną była do ciepłego słonecznego promyka, tyle przyjaznego każdemu; była wonnym kwiatkiem, rosnącym skromnie na uboczu, a swobodnej myśli, jak ptaszek w jasnym przestworze.

(C. d. n.)

Rzeczy Artystyczne.

MALARSTWO.

LEONARDO DA VINCI.

Życiorys i charakterystykę dzieł jego

skreślił

Władysław z Lewartowa Lewartowski.

„Gdy Stwórca od swego oblicza odegnał człowieka i później powrotu do świątła na ciężkiej drodze zmysłów szukać mu rozkazał; gdy wszyscy niebianie odstąpili syna ziemskiego: jedynie sztuka ludzka podała rękę opuszczonemu wygnańcowi, i.. nieśmiertelna wielkodusznie się z nim zamknęła w jego śmiertelność.“

Zamierzamy mówić o wielkim mistrzu pędzla, o dziecku pięknej Italii, o mężu należącym do rzędu tych niepospolitych ludzi, u których potęga geniuszu i wysoka godność moralna połączyła się z pięknością zewnętrzną ciała. Mamy mówić o mężu, o którym śmiało wyrzec można, iż w nim skojarzyła się piękna dusza z pięknem ciałem.

Urodzony r. 1452 w toskańskim zamku w Valdarno, już od lat dziecięcych okazywał Leonardo da Vinci wielkie zdolności do matematyki i nauk przyrodzonych, niemniej miał upodobanie w utworach poetycznych i w filozofii, przedewszystkiem jednak najwidoczniejszy i najsilniejszy miał popęd do rysunku, popęd dowodzący co dzień dobitniej zamiłowania sztuki. Wrodzone zdolności Leonarda nieuszły bacznego oka jego ojca S. Pietro. Ten, pragnąc rozniecić ową świętą iskrę utajoną w dziecięcym a świetną przyszłość rokującym gieniuszu, powierzył pierwotne wykształcenie syna swemu przyjacielowi Jędrzejowi Verocchio. — Verocchio był to człowiek raczej zdrowego rozsądku niż specyalnych zdolności, ztąd więc nieodpowiedni do kierowania młodym gienialnym artystą. To też i niedługo pozostawał Leonardo pod przewodnictwem wspomnionego męża, a głównym powodem do rozłąki jego ze swym nauczycielem miała być następująca okoliczność: Jędrzej Verocchio, malując chrzest Pana Jezusa, przeznaczony pierwotnie do klasztoru S. Salvi, a znajdujący się obecnie w akademii florenckiej, polecił swemu uczniowi wykonanie postaci jednego anioła. Leonardo wywiązał się z tego zadania chlubnie, a postać przez niego utworzona jaśniała tak błogim wyrazem, i taką świeżością kolorytu, iż przy niej zgasł, że tak powiem, cały obraz Verocchia, bo o ile z jednej strony zyskał na piękności, o tyle z drugiej stracił uroku, bo się odsłoniły wszystkie jego niedostatki, cała czczość i niewłaściwość w ugrupowaniu i wykonaniu. Odtąd Verocchio, dotknięty do żywego tem smutnem przekonaniem, iż dziecko więcej podoła od niego, postanowił już nigdy niebrać palety do ręki.

Rozdział Leonarda ze swym nauczycielem niemało wpłynął na jego przyszłość, bo od tej chwili zaczął postępować o własnych siłach, których doświadczywszy, stawał się coraz samodzielniejszym tak, że prawie już od lat dziecięcych składał kamyczki na ten pomnik, który sławą okrył imie jego. Zwykle dziwne, tajemnicze zdarzenia osłaniają już kolebkę niezwykłych ludzi. I z życiem Leonarda splotło się podobnych kilka zdarzeń, które były niejako zapowiednią, rzucającą światło na przyszłość jego. Wspomnień tych, jakkolwiek ściągających się do lat młodocianych artysty niepomijamy, wszakże są one kwiatami we wieńcu całego jego życia.

Jedno z takich podań wskazuje nam, jak Leonardo ukochał i pojął naturę, i jak lubił przenosić na papier lub płótno wszystko, co ogrzał tchnieniem swego twórczego ducha. Otóż, wydarzyło się, że pewien wieśniak z Vinci, zasłyszawszy o zdolnościach Leonarda, udał się z prośbą do ojca jego, by tenże kazał synowi wymalować mu jaki obraz. Tak prostodusznemu żądaniu postawił S. Pietro zadosyć uczynić. Cóż się dzieje? Młody artysta, otrzymawszy polecenie ojca, utworzył fantastyczny obraz, mający za przedmiot: węże, niedoperze, jaszczurki i tem podobne stworzenia. Na widok tego obrazu sam S. Pietro miał się przerazić, lecz u znawców zyskał on powodzenie. Pierwotnie został pozbyty za 100 dukatów, z drugiej zaś ręki kupił go książę Medyolanu za 300 dukatów. Ów zaś wieśniak otrzymał w zamian od Leonarda obrazek przedstawiający *serce, przebite strzałą*. Niemniej o wybryku dobrego humoru da Vincego świadczy następujące zdarzenie, które nam zarazem wskazuje jego upodobanie w tworzeniu karykatur. Zgromadziwszy on pewnego razu kilkunastu

wieśniaków koło stołu, począł im rozpowiadać różne, nader komiczne i zabawne zdarzenia. Pod takim wpływem... oblicza słuchających nabierały śmiesznego i głupkowatego wyrazu. Leonardo nieomieszkał korzystać z tej sposobności i wszystkich odkopiował.—Obok tej humorystyczności, którąśmy poznali z przytoczonych przykładów; obok całej poezyi, jaka osłaniała lata dziecięce Leonarda, zobaczymy przecież, że w całem paśmie życia tego artysty... rozwaga i rozmysł przewodniczyły jego postępkom. Tak jest, obok niepospolitych zdolności artystycznych był da Vinci głębokim myślicielem. Prócz głównego zawodu swego, starał się, ile możności, o wszechstronne wykształcenie: to też niezaniedbywał on matematyki i budownictwa, a nadto usposobienie przeważnie uczuciowe skłaniało go do poświęcenia nie jednej chwili czytaniu utworów znakomitych poetów, które znów przeplatał to śpiewem, to grą na lutni.

(C. d. n.)

TEATR.

(Ciąg dalszy).

Dzisiejszy prezes dyrekcyi teatrów warszawskich, pułkownik p. Hauke, jeszcze sobie niewyrobił żadnej opinii, wziął bowiem zarząd teatrów w najkrytyczniejszej chwili, w której publiczność nie uczęszcza do teatru; o ile jednak posłuchy o wspomnionym prezesie dochodzą, ma to być człowiek prawy i wyrozumiały: jeżeli może co dobrego zrobić, to zrobi; jeżeli nie, to nie obiecuje; a nadewszystko jest delikatnym, grzecznym, i najpodrzędniejszemu indywiduum w teatrze nie ubliży, jak to nieraz zwykł był czynić jego poprzednik i najpierwszemu artyście. Tyle masz waszmość o teatrach warszawskich.

Teraz przechodząc do historyi teatrów prowincyonalnych, obiorę sobie za główne stanowisko najludniejsze miasto po Warszawie, a tem jest Lublin, w którym każde wojażujące towarzystwo po królestwie Polskiem szukało gościnności. Najpierwszem miejscem do dawania widowisk była sala w parysowskim pałacu, który to gmach później zakupił na własność obywatel Groman. W roku 1803m, po wielkim pożarze w Lublinie, jeszcze za rządów austryackich, było tutaj towarzystwo aktorów niemieckich, które dawało przedstawienia w sali biskupiego pałacu tuż przy klasztorze panien Bernardynek. W lat kilka później pojawiło się towarzystwo artystów polskich; ale już nie w biskupim pałacu, lecz w domu Wrońskiego, naprzeciwko loży masońskiej, urządzono salę teatralną, i tam najdłużej, bo aż do 1820 roku dawano widowiska. W następnych latach sala teatralna była to w pałacu parysowskim, to w gmachu pijarskim, aż do roku 1824. W tym czasie obywatel Rodakiewicz wystawił teatr murowany przy ulicy jezuickiej, który też trwa do dziś dnia. Towarzystw artystów dramatycznych aż do r. 1830 wiele się przewinęło. Na szczególną zaś uwagę publiczności zasługiwały firmy następujące: Bauerów, Makiełkowskich, Skibińskich, Nowakowskiego z Litwy, Brzezińskiego, Raszewskiego i Kajetana Nowińskiego. W roku 1831 pojawiło się nowe towarzystwo artystów pod kierunkiem T. A. Chełchowskiego, które dawało swoje przedstawienia w podwórcu domu Głuskiego, gdzie była urządzona mała arena bez dachu; w murowanym zaś teatrze Rodakiewicza dawał przedstawienia K. Nowiński ze swojem towarzystwem. Ta emulacya między dwoma dyrektorami trwała pół roku, i na tem się skończyła, że obadwa nic niemieli, gdy tymczasem pracując połączonemi siłami, mogliby robić niezły interes; obudwum też niemożna było nie zarzucić pod względem artyzmu. K. Nowiński był człowiekiem posiadającym wyższe nauki, a zwłaszcza gruntowną znajomość języka niemieckiego, z którego bardzo wiele sztuk przetłómaczył na język polski; T. A. Chełchowski więcej był instynktownym artystą, nie posiadał wielkich nauk, ale był bystrym w pojmowaniu rzeczy, umiał ożywić każdą sztukę rozmaitością gry, a nadewszystko miał dar niepospolity do układania czyli informowania młodzieży teatralnej; to też przez przeciąg lat trzydziestu wielu artystów wykształconych wyszło z jego szkoły, którymi się szczyci dzisiaj Warszawa i stolice prowincyj polskich, jako to Lwów, Kraków i Wilno. Miał on w ciągu tych lat trzydziestu bardzo szczęśliwe chwile, i gdyby był oględniejszym na przyszłość, mógłby był zebrać znaczny majątek; lecz nikt na świecie nie jest bez ale? cóż dziwnego, że i dyrektor prowincyonalnego teatru miewa czasami swoje ale? Najważniejszą z jego słabości było pieniactwo; w którem tak dalece był zamiłowanym, że wolał przegrać proces i stracić kilka lub kilkanaście tysięcy, aniżeli zgodnym sposobem, kosztem kilkuset złotych, uniknąć sporu i załatwić interes w cichości. Szczególniejsze miał upodobanie robić różne facyendy z żydkami, i im bardziej który żydek był przebiegły i ostrożny, tem bardziej go w pole wyprowadził. Przytoczę tu tylko jeden z jego dowcipów. W r. 1840 przedsięwziął podróż ze swem towarzystwem z Lublina do Radomia, mil zaledwie 13, zdaje się niewielkie trudności, ale niestety! nikt tak drogo nieodbywa podróży, jak biedni aktorowie: jeżeli tylko zwiedzą się furmani, po większej części żydzi, że trupa aktorów ma wyjeżdżać z miasta, już na czternaście dni naprzód zmawiają się z sobą, nakładają wygórowaną cenę na każdy choćby najlichszy wózek, i zmuszają biednego przedsiębiorcę do straszliwego okupu; a jeżeli zdarzy się przypadkiem, że taki dyrektor niemoże połowy z góry zaliczyć, i obiecuje dopiero na miejscu wszystko wypłacić, natenczas pakuje mu się na każdy wóz po czterech żydów, i tak, jeden furman, drugi właściciel bryki, trzeci właściciel koni, a czwarty, co pożyczył nowego półkoszka; pan dyrektor, chcąc jako tako przewieść z miejsca na miejsce swoje i aktorów bagaże, zacina zęby, i w milczeniu znosi nadużycia pana Icka lub Mortki, a poczciwi jego socyusze, niemogąc się wygodnie obok żydów ulokować na bryce, dla miłej zgody, drą *piechotare debet* przez całą drogę. Otóż w takim przypadku znajdował się wówczas pan Chełchowski, chciał gwałtem stanąć w Radomiu na trzy dni przed św. Janem, a tu żydzi dali sobie ręce, żeby go odrzeć do ostatniego. Cóż on tedy robi? ma w stajni własnych swoich sześć koni, jeden wóz ładowny pod ciężary i omnibus na 20 osób; więc wypadało do wozu trzy konie, i do omnibusa tyleż, a tu na gwałt jeszcze trzeba dziewięciu koni i trzech ładownych wozów, bo rupieci co niemiara, i wszystkich osób omnibus niepomieści. Woła tedy zamożnego żyda furmana, który przytem prowadził handel końmi, i zapytuje go, czy niema koni do sprzedania? — Owszem, mam, ile pan potrzebuje?—Potrzebuję dziewięć koni! — Proszę pana z sobą, niech pan obejrzy, zgodzimy się! — Krótko mówiąc: targ w targ, kupuje Chełchowski dziewięć koni od żyda za 3,200 złp., ale z warunkiem, że mu za nie zapłaci dopiero w Radomiu, i daje mu na to kupno 10 dukatów zadatku; robią ugodę na piśmie, w której dla pewności Żyda zastrzeżono: że gdyby po przyjeździe do Rado-

mia, w przeciągu sześciu godzin żyd nie był zaspokojony, wówczas zadatek przepada, a on konie zabiera jako swoją własność; przytem Chełchowski wypożycza od niego trzy próżne wozy do Radomia, dając od każdego po pięć rubli. Żyd widząc dobry interes, bo jego konie i dwóch tysięcy złotych niebyły warte, a miał za nie 3200 złotych, zgadza się na wszystko.

Nazajutrz rano zajechał żyd z wypożyczonemi wozami i kupionemi końmi, zapakowano bagaże, roztasowano osoby i dalej w drogę; przyjechawszy do Radomia Żyd złożył rzeczy i upomina się o pieniądze za wynajęcie wozów i za sprzedaż koni; Chełchowski za wozy płaci 15 rubli, a za konie obiecuje złożyć pieniądze za parę godzin, bo w tej chwili musi wyjść na miasto do dawnych przyjaciół i znajomych; upływa sześć godzin, upływa i dzień cały, a pana dyrektora niewidać, dopiero późno w nocy przychodzi do mieszkania mocno zmartwiony, narzekając, że nigdzie pieniędzy dostać nie może, i prosi Żyda czyby mu niezawierzył tej summy za kupno koni do św. Michała. Żyd, rozgniewany taką propozycyą, odwołuje się do zawartej ugody, zabiera swoję konie, i powraca do Lublina, chwaląc się między Żydami, że się przecież niedał odrwić panu dyrektorowi; lecz gdy Żydzi wzięli pod kredkę cały interes, pokazało się, że stary Icek za wynajęcie trzech wozów i dziewięciu koni licząc po 300 złotych od wozu, zamiast wziąść 900 złotych, przez wybieg Chełchowskiego, dostał tylko 15 rubli od trzech wozów, i dziesięć dukatów jako zadatek na kupno koni, summa summarum 280 złp.; Żyd niemógł poszukiwać swej straty, bo cała ugoda była prawnie przy świadkach spisana.

(C. d. n.)

Gawędy panny Reginy.

(Ciąg dalszy).

Około godziny piątej... już słońce miało się ku zachodowi, dopiero wracali nasi myśliwi z łowów, sfatygowani, czy tam zmurzeni, i po sam pas zaszargani błotem, — to są zwykłe a przynajmniej najzwyklejsze sukcesa myśliwych, całym ich łupem były dwa zające i kilka sztuk bekasów. Pan D. narzekał, że z sąsiedztwa strzelcy wyniszczyli na jego gruncie zwierzynę, a panowie młodzi, zwyczajnie jako niewprawni myśliwi, żartowali nawzajem z siebie, że dawszy po 30 strzałów, jeden ubił bekasa a drugi kraskę. Zamieniwszy odzież zabłoconą na suchą, zasiedli do obiadu, z którym na nich w domu czekano, tu dopiero powoli zaczął im się humor naprawiać, a po kilku kieliszkach dobrego burgunda zapomnieli o znużeniu, i wesołe żarty, przechwałki rozległy się po salonie. Resia przysłuchiwała się całej pogawędce, nareszcie zapytała z uśmiechem pana Stanisława: gdzie to owa sarna? o której mówił przed wyjściem na polowanie, bo ona ma już palec przygotowany.

— Lepiej nie żartuj Resiu! bo na drugi raz nie sarnę ale dzika gotów bym ci upolować!

— Tylko, żebyś Stasiu! gdzie w lesie nie napotkał panny z miedzianą maską na twarzy, jak to sobie o takiej pannie opowiadają na Szląsku.

— Cóż to za powieść? panno Regino! prosimy o nią, myśmy ciekawi.

— A cóż z wami robić? toż wam powiem, przecież od lat tylu słynę jako najstarsza banialuka, czy tam bajczarka. Oto: na Szląsku był zamek obronny, zwany Bukowiec, ale to jeszcze za czasów Zygmunta Igo czy tam starego, chociaż nieprawda, żeby tak dzielny nasz król mógł się kiedy postarzeć. Właścicielem rzeczonego zamku był jakiś chorąży pancerny, nazwiska już niepamiętam, wielki szaławiła, zaczepnik, burda jak to mówią po prostu. Kto mu tylko wlazł w drogę, niechajby się Bogu oddał! albo bez nosa, albo bez uszu, a czasem i bez głowy powracał nieborak do domu. Miał pan chorąży żonę, poczciwą kobiecinę, ale nieszczęśliwą z powodu męża niewzorowego, a który z nią ożenił się wcale nie z afektu, ale dla jej wielkiego posagu. Osierociała była biedaczka jeszcze w dziecięctwie, bo rodzicy oboje z morowej zarazy pomarli. Krewni, którzy się nią opiekowali, niewiele się jej losem troszczyli, ot zwyczajnie jakto krewni. Gdy panna dorosła, niepytali komu po co i na co? ale wypchali ją czem prędzej za mąż. Oczywiście łapy sobie dobrze wysmarowali; tedy pani chorążyna w parę lat po zamęściu powiła córeczkę. Niewiadomo z jakiej przyczyny, nikomu twarzy dziecięcia w całym zamku nie było wolno widzieć, oprócz jednej starej służebnej, bardzo przywiązanej do pani chorążyny. Pan chorąży, podług swego zwyczaju, zrobił tam z jakimś szlachcicem nową burdę, wyzwali się na ręce; przeciwnik czy silniejszy, czy sprytniejszy, jednem machnięciem korda strącił głowę chorążego, ot jak makówkę. Dowiedziawszy się pani chorążyna o nieszczęściu, zbrzydziła sobie do reszty mężowski zamek, udała się do Krakowa do swojej ciotki, która była matką ksienią w klasztorze panien Benedyktynek, i tam poświęciła się zupełnie wychowaniu jedynego dziecięcia. Majętność całą, mężowską jak własną, puściła w dzierżawę zacnemu podupadłemu szlachcicowi, z warunkiem, że jeżeli jej córka przyjdzie do dojrzałości, żeby jej majętność oddał w stanie, w jakim ją odbiera. Umowa spisana w Grodzie, przy uczciwych świadkach, ubezpieczała obiedwie strony. W kilka lat pani chorążyna umarła, a panna chorążanka w tym samym klasztorze miała dalsze wychowanie. Ale jak przed tem i od urodzenia, tak i później nikt twarzy niewidział oprócz matki, ciotecznej jej babki matki ksieni, i owej poufnej służebnej. Ukończywszy nauki w klasztorze, mając już lat 17, ofiarowawszy bogate wotum dla klasztoru, panna chorążanka wyjechała do swoich włości wraz z starą służebną, i zamieszkała jak jej rodzicy niegdyś zamek Bukowiec; ale służba, czeladź i wszyscy jej poddani, zamiast ją witać jak najuroczyściej, uciekają przed nią jak przed straszydłem. Przyczyną tego wstrętu była maska miedziana na twarzy, w kształcie twarzy puszcza leśnego.

Na odgłos przyjazdu dziedziczki zebrali się wszyscy parafialni duchowni, dla powitania nowej kolatorki. Obiad był suty w zamku, to też obiad im się bardzo podobał, ale co dziedziczka to tylko wstręt im sprawiała, i jaki taki nagadał się o niej; ten głośno, ów szepcąc, mówili, że lepiej było w niemowlęctwie udusić, aniżeli wychować poczwarę na panią rozległych włości. Niektórzy ciekawi wypytywali starą powiernicę: czy pani w istocie jest taką, jak to maska okazuje? — Jeszcze brzydszą mój panie, staruszka odpowiada; boć przecię przyjemniej spoglądać na miedzianą maskę, aniżeli na twarz sowią, obrosłą pierzem i zakończoną zakrzywionym dziobem. Na te słowa jaki taki wstrząsnął się cały, splunął, przeżegnał się i nie gościł więcej w zamku chorążanki. Przybył naostatku i poczciwy szlachcic stary, dzierżawca i zarządzca jej majątku — przywiózł od lat 16 zaległy dzierżawny czynsz, i zapytuje:

— Czy jejmość panna chorążanka dobrodziejka raczy już sama zarządzać swoim majątkiem i odebrać włości podług zastrzeżenia ś. p. nieboszczki swojej matki?

Chorążanka odpowiada, że niema nic pilnego, i że dopóki za mąż niepójdzie, może jegomość jej majątkiem, jak dotąd, zarządzać. — Westchnął poczciwy starzec i pomyślał sobie w duchu, oj biedna ty, biedna! mimo twoich skarbów, mimo tak tkliwego i miłego głosu, niemarzyć tobie o małżeństwie! bo i któżby się odważył żenić z takiem straszydłem? złożywszy tedy rachunki, pożegnał dziedziczkę i powrócił do gospodarstwa.

(C. d. n.)

Przygoda pana Narcyza.

Ramotka — Nieramotka.

Działo się w lecie 1856 r. Po drodze, prowadzącej z pewnego miasteczka galicyjskiego do pobliskiej wioski, toczyło się kilka powozów i bryczek, i kilka wózków, przepełnionych podróżnymi. Były to po większej części figury kapotowych mieszczan i czepkowych mieszczek, postrojonych jedna jaskrawiej od drugiej, między któremi wyróżniało się kilka ufraczkowanych figur urzędniczych z swojemi kapeluszowemi żonami i córkami. Panowie i panie miały przy boku bukiety—rzecz prosta, jechali na ślub.

Należy wiedzieć, że w miasteczku, z którego jechano, na parę dni przedtem kościół pogorzał, zaczem w każdym razie dla nabożeństwa i obrządków udawano się do pobliskiego wiejskiego kościółka.

Właśnie w tem dniu majętny mieszczanin pan Jakób Zięba wydawał za mąż córkę. Panienka, oprócz dość znacznego posagu, niemogła się pochlubić innemi zaletami. Niska, pękata, z wystającemi policzkami i zadartym noskiem, a śniadej przytem cery, niemogła ni kogo powierzchownością swoją zachwycić, ani też mogła kogo wykształceniem swojem zająć, boć tylko czytać i pisać umiała jako tako po polsku i po niemiecku, i umiała brzdąkać i tylko brzdąkać na gitarze.

Majątek jej jednak był wędką, która niejednego młodzieńca pociągała ku niej magnetycznie, ale z licznych wielbicieli dopiero pan Narcyz, którego zaraz poznamy, był tyle szczęśliwym, iż mu pozwolono połknąć haczyk.

Oprócz bowiem wyliczonych przymiotów, panna Rozalia (gdyż tak ją zwano) miała jeszcze jeden, który niewiedzieć, czy do zalet, czy do wad policzyć należy. Byłto ten u kobiet teraz zwykły, a z starodawną serdecznością tak niezgodny praktyczny rachunek, którym tegoczesne panienki oceniają starającą się o nie młodzież nie według zacności charakteru, lecz według wyższej lub niższej kategoryi, do jakiej według majątku lub znaczenia taż młodzież w świecie należy. Wiedziała panna Rozalia, iż z swoim majątkiem może zapragnąć partyi świetniejszej. Odpowiadała zatem na wszystkie umizgi miejscowej młodzieży żartami i tym wzrokiem, co słowa w ustach zatrzymuje. Ona marzyła o mężu z większego, przynajmniej z obwodowego miasteczka, z pewną pozycyą towarzyską, z manierami nie tak niezgrabnemi, jak rzemieślniczej młodzieży rodzinnego miasteczka. W tej mierze życzenia jej zgadzały się zupełnie z życzeniami matki, kobiety bardzo ambitnej, i która niczego tak nie pragnęła jak świetnej partyi dla swojej jedynaczki.

Właśnie człowiekiem z pewną pozycyą w świecie był pan Narcyz Pisarzewski.

Pan Narcyz, jako tako ukończywszy klasy łacińskie, pozbawiony środków dalszego kształcenia się, wstąpił jako praktykant do urzędu czy tam sądu, i... po mozolnej, gorliwej służbie manipulacyjnej, w 32 roku życia dostąpił godności oficyała.

Była to figura arcyciekawa. Z powodów bardzo naturalnych, to jest z przyczyny nader szczupłych dochodów, pan Narcyz niebywał nigdzie, nieznał się z nikim, jadał bardzo skromnie, a ubierał się jeszcze skromniej. Mody niemiały na niego najmniejszego wpływu. Ten sam odwieczny, wytarty mundur na codzień, i ten sam spłowiały granatowy surdut i dziesięć razy odnawiany kastorowy cylinder od święta, znamionowały tak wybitnie pana Narcyza, że znający go z bardzo daleka widzieli, kto idzie. Przytem twarz jego nad wiek poważna i serdecznie nudna, bez wąsów i faworytów, wyglądała jak kodex cywilny bez żadnych hofkanzleidekretów.

Sumiennie przyznać należy, że pan Narcyz był urzędnikiem co się zowie, urzędnikiem całą gębą. Niebyło gałęzi manipulacyjnej, w którejby jakiś czas niepraktykował. Dziennik podawczy, registratura, ekspedyt, zachowały w pamięci dowody wytrwałej jego pracy. Kilka belobungsdekretów prezydyalnych świadczyło o jego gorliwości; przytem wierność nieposzlakowana i wyrachowana uniżoność dla przełożonych sprawiły, iż podczas organizacyi urzędów sądowych, pan Narcyz po kilkunastoletniej służbie, wynagradzanej dwiestu reńskiemi, otrzymał nagle posadę oficyała przy sądzie obwodowym z pensyą pięciuset reńskich.

(C. d. n.)

TEATR.

Tutejsze Towarzystwo artystów dramatycznych, powróciwszy z przejażdżki po prowincyi, odegrało następujące sztuki, a to na dniu 23go października: *Śluby Panieńskie*, komedyę Aleksandra hr. Fredry; d. 25go b. m. *Wąsy i Peruka*, komedyę Józefa Korzeniowskiego; dnia 26go b m. *Starosta Wieluński czyli Szwedzi w Polsce*, obraz dramatyczny na tle historycznym w 5ciu aktach z prologiem, oryginalnie przez hr. Starzyńskiego napisany.

Wiadomości literackie.

Nakładem nowo założonej księgarni *Fr. Grzybowskiego* wytłoczono u Ż. I. Wywiałkowskiego w Krakowie (1863) broszurkę pod napisem: *Kilka rysów z żywota Katarzyny ze Szrederów jenerałowej Sowińskiej i jej pogrzeb w Warszawie*. (8o str. 16).

Czytamy że wymieniona pani dnia 19go lipca 1805 roku poszła za mąż; że była córką jedynaczką Antoniego Szredera, dyrektora mennicy warszawskiej za Stanisława Augusta, i ostatnią swego rodu, że mężowi wniosła bogate wiano D. 7 września 1831 utraciła męża. Była matką uczniów szkoły aplikacyjnej, które to świadectwo oni sami już w charakterze żołnierzy dawali jej. Zachowała młodzieńczą żywość uczucia do ostatniej chwili życia, co ją czyniło o 40 lat młodszą. Miała fanatyczne (może tylko honorowe) i sumienne przywiązanie do raz danego słowa. Piękną duszę oddała Panu Bogu 1860 r. wydaliwszy się z domu dla spełnienia szlachetnego uczynku. Pochowano ją d. 11go czerwca z wielkiemi oznakami czci powszechnej.

— Nowego poczetu Biblioteki Ossolińskich wyszedł tom pierwszy (str. n. l. 4, l. 422, duże 8o), i obejmuje bardzo ważne i zajmujące artykuły, z pomiędzy których kilka jest przystępnych dla Zacnych naszych Czytelniczek. Bibliotekę Ossolinskich najsumienniej polecamy wszystkim obywatelskim domom.

Ponownie prosimy o najspieszniejsze nadesłanie zaległości.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. **Antoni Rother.**